



Kopciuszek w Singapurze

Monika Hołyk-Arora

Monika Hołyk-Arora

Kopciuszek w Singapurze

© Copyright by
Monika Hołyk-Arora & e-bookowo
Projekt okładki: Lan Gao

ISBN 978-83-7859-647-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2016

[Kup książkę](#)

Rozdział I

Przybyłam!

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami... Zaraz, zaraz mamy dwudziesty pierwszy wiek i chyba nikt nie wierzy w bajki zaczynające się w ten sposób. Przecież wystarczy wskoczyć w super szybki pociąg, albo jeszcze lepiej – samolot i kraniec świata znajduje się na wyciągnięcie naszej ręki.

Zatem bajarz poszukujący odpowiedniego wstępu do swojej opowieści powinien wybrać nowy, zupełnie inny początek historii. Jaki? Trudno będzie znaleźć właściwą odpowiedź na ten dylemat, dlatego też zacznijmy od pewnej prawidłowości będącej w stanie oprzeć się nieuchronnie płynącemu czasowi.

Jedna rzecz nigdy się nie zmienia. Kopciuszek nie mógłby istnieć bez Matki Chrzestnej, spełniającej skryte marzenia za jednym machnięciem czarodziejskiej różdżki. Bez obaw, nie zobaczycie dyni zaprzęzonej w białe rumaki, pędzącej po krajowej autostradzie, ani kryształowych pantofelków porzuconych na schodach królewskiego zamku.

Nowa, ulepszona wersja wróżki potrafi czynić bardziej wyrafinowane cuda, które mogą spowodować, iż codzienność na krótką chwilę przemieni się w baśń, jaką pragną usłyszeć wszystkie dziewczynki świata.

Skąd to wiem? Cóż, to ja jestem współczesnym Kopciuszkiem przeżywającym swoją bajkę na jawie! Ale chyba powinniśmy zacząć od początku...

Zamknijcie oczy. Chociaż nie, nie możecie tego zrobić, jeśli chcecie kontynuować lekturę poniższego tekstu. Zatem po prostu wyobraźcie sobie późny, piątkowy wieczór. W listopadowych mrokach schyłku dnia, deszcz siąpiący od rana zmienia się powoli w pierwsze opady śniegu. Wszechobecne zimno przenika chłodem jesienne okrycia, sprawiając, iż ludzie na ulicy kulą się w sobie, tęskniąc za słoneczną, letnią pogodą.

Stworzyłam właśnie niezbyt optymistyczny obrazek, nieprawdaż? Cóż, w życiu, tak jak i w bajce, nie zawsze jest lekko. Chociaż nie przypominam sobie, by Kopciuszek w baśni braci Grimm cierpiał na tego typu niedogodności atmosferyczne.

Tak czy siak, aura za oknem doskonale odzwierciedlała nastrój panujący w mojej duszy. Zaledwie kilka dni wcześniej przeznaczenie podarowało mi najbardziej chybiony prezent z okazji nadchodzących trzydziestych urodzin, jaki tylko można było sobie wyobrazić – wypowiedzenie z pracy!

No dobrze, nie będę nikomu wmawiać, iż przepadałam za nią w jakiś szczególny sposób, bo byłoby to zbyt dużym przekłamaniem. Nie mniej jednak, to właśnie za sprawą tych ośmiu godzin dziennie, spędzonych za biurkiem korporacyjnego potworka, byłam w stanie opłacić bieżące rachunki i odłożyć chociaż kilkanaście złotych na przysłowiową „czarną godzinę”.

Zanim jednak zdołałam pogрузić się w rozpacz, przeznaczenie przysłało pod moje drzwi dobrą wróżkę. Trudno powiedzieć, czy akurat w tym przypadku należy mówić o ogromnym szczęściu, czy też odwrotnie, o potwornym pechu, nie mniej jednak powinnam sprecyzować niektóre fakty i dodać, iż na swoim progu ujrzałam nie jedną, a dokładnie czternaście matek chrzestnych i czterech „ojców”. Wszyscy śpiewających donośnymi głosami „Sto lat”. Kiedy już ich grupowe zawodzenie przebrzmiało na korytarzu klatki schodowej, wspólnie wręczyli mi bilety lotnicze do... Singapuru!

I oto jestem! Stoję sama pośrodku jednego z największych lotnisk Azji, zupełnie nie wiedząc, co ze sobą począć. Kolejne mijane przeze mnie korytarze portu Changi zachwycają podróżnych z całego świata swymi ogrodami i świetnie zaopatrzoną strefą wolnocłową, jednak we mnie wywoływały poczucie zagubienia.

Ostatnich kilka lat mego życia spędziłam na marzeniach o podróżach, poznawaniu świata i uwiecznianiu jego cudów na fotografiach. Teraz oto przyszło mi te życzenia wcielić w życie. A ja? Ja boję się tego, iż nie znajdę metra, które może dowieźć mnie w pobliże China Town!

„Wdech, wydech” – szepnęłam, próbując zapamiętać każdy z możliwych szczegółów otaczającej mnie, zupełnie nowej, rzeczywistości – „to nic więcej, jak tylko jedno z wielu lotnisk i miast, które jeszcze w życiu odwiedzę!” – przekonywałam samą siebie, próbując uniknąć nagłego

ataku paniki.

Oczywiście jeśli tylko uda mi się powrócić z tej wyprawy w jednym, nienaruszonym ludzkim kawałku! Pchnięta ciekawością świata oraz skromnymi zasobami portfela, zdecydowałam się na rejestrację na portalu couchsurfingowym, za pośrednictwem którego znalazłam darmowy nocleg. W zaciszu własnego pokoju w Warszawie wydawało się to świetnym pomysłem, teraz jednak straciło cały swój urok zaprawiony przygodą. Racjonalna część mojej osobowości doszła bowiem do wniosku, że prawdopodobnie upadłam na głowę, decydując się na takie szaleństwo. Jeszcze kilka lat temu nie do pomyślenia byłoby łączenie podróżników z drugiego końca świata z osobami posiadającymi wolne miejsce na domowej kanapie. A teraz? Proszę! Sama jadę na spotkanie z Ann-Marie, która zgodziła się gościć mnie przez pierwszy tydzień moich szalonych wakacji z Singapurze!

Co zrobię z resztą dwutygodniowego urlopu? Nie wiem. Prawdopodobnie udam się do Malezji, a kto wie, może nawet na słynne Bali. Improwizacja bywa niekiedy całkiem dobrym doradcą.

Tłum stłoczony w wagoniku wylał się na peron, umożliwiając mi pochwycenie niewielkiej walizki i wyskoczenie na platformę w ostatnim momencie, zanim drzwi zamknęły się przed kolejnym odcinkiem jazdy. Stałam po środku korytarza, spoglądając na tabliczki informacyjne wskazujące ulice znajdujące się nade mną, gdy

spozstrzegłam szatynkę w eleganckiej garsonce, przyglądającą mi się dosyć ostentacyjnie. Zanim jednak zdążyłam wykonać chociaż jeden krok w jej kierunku, ona sama podeszła do mnie i z uśmiechem na twarzy skinęła głową.

– Adrianna, prawda? – spytała po angielsku z charakterystycznym australijskim akcentem – to ja, Ann-Marie. Udało mi się wcześniej wyrwać się z pracy i pomyślałam, że wyjdę ci na spotkanie.

Muszę przyznać, że odetchnęłam z ulgą, widząc ją pośród tego morza ludzi, płynącego wartkim strumieniem we wszystkich kierunkach. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. To mogłam zrobić, mimo zmęczenia, które nagle mnie dopadło.

– Zgadza się! – szepnęłam uradowana. – Dziękuję za miłe powitanie i gościnę.

– Nie ma za co! Zresztą, jak sama się przekonasz, daleko mi do właścicielki apartamentu w centrum. Sądzę jednak, że miejsca wystarczy dla nas obu. Jak to mawiają Hiszpanie: „Mi casa, es su casa”!

Wymawiając te słowa, chwyciła torbę, która do tej pory obciążała moje ramię i, ponaglając mnie, ruszyła przed siebie.

Zanim zdążyłam postawić pierwszy krok na chodniku, załała mnie fala światła, w której powoli zaczęłam rozróżniać poszczególne kształty i kolory otaczającej mnie rzeczywistości. Oniemiałam! Mimo, iż przywykłam do życia w Warszawie, będącej bezsprzecznie jedną z większych

metropolii Europy, to niestety daleko jej do azjatyckiego tygrysa, jakim stał się Singapur w przeciągu zaledwie kilku dekad niepodległości.

Drapacze chmur pnące się w górę, zasłoniły mi widok błękitnego nieboskłonu, ustępując chwilami pola znacznie niższym budynkom, wzniesionym w stylu będącym tutejszą odmianą trendów kolonialnych. Krocząc między kolejnymi konstrukcjami, w pewnym momencie dostrzegłam wysoki wieżowiec, którego ściany pokryte zostały bujną, na pierwszy rzut oka prawdziwą, zielenią.

– Już go zauważyłaś? – zagaadnęła mnie Ann-Marie – to hotel ParkRoyal, jeden z najciekawszych na świecie. Jak pewnie wiesz, nie posiadamy zbyt wielu wolnych terenów, dlatego rośliny stały się częścią tutejszej architektury. W tym przypadku biuro projektowe wykonało kawał dobrej roboty.

– Niesamowity – szepnęłam, nie znajdując odpowiednich słów na opisanie wrażenia, jakie zrodziło się w mej duszy na widok tego niezwykłego zakątka. – Czy tu zawsze jest tak duszno?

Był to zabieg taktyczny, mający na celu zmianę tematu. Nie chciałam przecież wyjść na chłopka-roztropka, który nic w życiu nie widział i zachwycił się pierwszym napotkanym cudem dwudziestego pierwszego wieku.

– Sorry – rzekła na wpół przepraszając, na wpół żartując – taki mamy klimat! Słońce, wilgotne powietrze i okazjonalne oberwania chmury to nasza codzienność. Nie martw się, szybko się przyzwyczaisz.

– Na pewno. Wylatując z Warszawy pożegnałam przeszło dziesięciocentymetrową warstwę śniegu. Uwierz mi, to – rzekłam wskazując na niebo – stanowi ożywczą odmianę.

– Śnieg – westchnęła tęsknie Australijka, dzielnie dźwigając moją, wcale nie lekką, torbę podręczną – nigdy nie widziałam go na żywo. Jak wygląda? Oczywiście poza tym, że jest biały, mokry i zimny?

Poczułam ulgę! Ogromną, niewysłowioną ulgę! Może nie miałam okazji podziwiać wszystkich cudów wielkiego świata, ale nie byłam w tym osamotniona!

– Wiem, pewnie moje pytanie wydało ci się głupie, ale...

– Nie, nie, wcale nie – zaoponowałam natychmiast, wyrывая się z chwilowego zamyślenia – po prostu nie wiem jak go opisać. Jest zimny, mokry, biały, a topiąc się tworzy straszne błoto. Uwierz mi, nie straciłaś zbyt dużo, nie mając okazji widzieć go na żywo. Nie mniej jednak, jeśli tylko masz ochotę, to zapraszam do Polski. Zimową porą mamy go tam pod dostatkiem.

– Kto wie? Może kiedyś skorzystam! – stwierdziła zadziornie.

– Mi casa es su casa – odpowiedziałam słowami użytymi wcześniej przez nią samą.

Mieszkanie Ann-Marie, chociaż faktycznie niezbyt duże, okazało się znacznie większe, niż kawalerka wynajmowana przeze mnie na Mokotowie. Urządzone w minimalistycznym, ultranowoczesnym trendzie, w moim odczuciu świetnie

skomponowało się ze stylem właścicielki.

– Czuj się jak u siebie w domu! – poprosiła, zostawiając mnie w pokoju, który miał się stać moim lokum na najbliższe dni – kiedy już się odświeżysz, zapraszam na kawę – zaświergotała radośnie przed wyjściem z sypialni.

– Daj mi dwadzieścia minut – poprosiłam.

Zostałam sam na sam ze swymi myślami, które od kilkunastu godzin nie nadążały za lawiną następujących po sobie zdarzeń.

To niewiarygodne, ale dokonałam tego! Przybyłam na drugi koniec świata tylko po to, by spełnić swoje marzenia! I chociaż jest to dopiero pierwszy, niewielki krok do zmiany życia, to wreszcie udało mi się go postawić! Teraz powinno być już tylko łatwiej!

Otworzyłam szybko walizkę i wyjęłam z niej potrzebne kosmetyki, ubrania i album o Warszawie, który zamierzałam sprezentować swojej gospodyni.

– Życie tutaj, wbrew pozorom, nie jest proste – Ann-Marie odpowiedziała na moje pytanie o Singapur – oczywiście nie mam tu na myśli poszukiwanych specjalistów, bowiem dyplom odpowiedniej uczelni otwiera nie tylko drzwi wielu pracodawców, ale też i karier, o jakich w innych krajach można tylko pomarzyć.

– A ty? Jak się tu znalazłaś, jeśli można spytać?

Kobieta zaśmiała się lekko, wracając w swych wspomnieniach do przeszłości.

– Kończyłam ekonomię na uniwersytecie w Sydney i odbywałam praktykę w przedstawicielstwie jednej z tutejszych firm. Sama nie wiem, jak to się stało, iż pewnego dnia zaproponowali mi etat tutaj. Nie czekając na inną ofertę, spakowałam kilka walizek i przyleciałam. A wiesz, co jest w tym wszystkim najciekawsze? To była najlepsza decyzja, jaką mogłam podjąć!

– Wow, to się nazywa dobry start – podsumowałam, nie chcąc okazywać zazdrości, która gdzieś tam w głębi duszy szeptała, iż ja nie miałam tyle szczęścia.

– Prawdopodobnie masz rację – zgodziła się Ann-Marie – a co ty porabiasz w dalekiej, śnieżnej Polsce?

– Śnieżnej tylko w zimie, a i to nie zawsze – sprostowałam na wstępie, nie chcąc zafałszowywać obrazu własnej ojczyzny – aktualnie jestem bezrobotna. Mój kontrakt wygaśł dwa dni temu...

– Och, nie wiedziałam, przepraszam – zmieszała się nieco.

– Nie ma za co! To nie twoja wina. Zresztą może zmiana wyjdzie mi na dobre. Pracowałam w biurze, odbierając dziennie setki telefonów i wpisując nikomu niepotrzebne dane w wykazy, które oglądało może trzech ludzi w firmie.

– Czy mi się zdaje, czy też nie przepadałaś za swoją pracą?

Roześmiałam się radośnie, nie mogąc opanować tej naturalnej reakcji.

– Skończyłam fotografię, a utknęłam w korporacji z powodu braku perspektyw rozwoju w moim wyuczonym

zawodzie – wyjaśniłam – Skoro już wspomnieliśmy o Polsce, to mam dla ciebie pewien drobny upominek – rzekłam, podając jej album owinięty w papier prezentowy, nie wiedząc nawet czy w couchsurfingu coś takiego jest praktykowane.

– Ależ nie trzeba – zapewniła Ann-Marie.

– To dla mnie czysta przyjemność.

Błękitna kokardka zdobiąca podarunek szybko została rozwiązana, a oczom zaskoczonej Australijki ukazała się kolorowa okładka.

– Adrianna – rzekła, a w jej głosie dało się usłyszeć zachwyt – dziękuję. Nikt dotąd nie pomyślał o tak miłym geście. Dziś moja mała biblioteka wzbogaciła się o wielki skarb – rzekła, wskazując w stronę kącika z regałami wypełnionymi książkami.

– Cieszę się, że trafiłam w twoje gusta.

Spędziłyśmy mnóstwo czasu rozmawiając o naszych krajach, pomysłach na życie i poglądach na świat. Ta drobna szatynka udzielająca mi dachu nad głową okazała się niezwykle ciepłą i otwartą na inność osobą. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się znaleźć bratniej duszy na drugiej półkuli, a jednak właśnie tak się stało.

– Miałam dziś w planach kolację z kolegą z pracy, ale zaraz ją odwołam i wyjdziemy na miasto. Co ty na to? – zaproponowała w pewnym momencie.

Kolacja? Z kolegą z pracy? To mogło oznaczać tylko jedno! Randkę! A ja nie miałam ochoty stać się powodem jej odroczenia, dlatego też natychmiast zaprotestowałam.

– Absolutnie nie mogę się na to zgodzić! Spędzę tu jeszcze kilka dni, więc na pewno wyskoczmy gdzieś na babski wieczór! Dziś musisz zrobić się na bóstwo i w drogę! Ja w tym czasie spróbuję na mieście jakiejś chińszczyzny i obejrzę sobie centrum z bliska.

Ann-Marie spojrzała na mnie, nieprzekonana.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”! Zresztą kto wie, może i ja spotkam jakiegoś przystojniaka – zażartowałam, by rozwiać jej wątpliwości – skoro już dobra wróżka wysłała mnie tutaj, to chyba nie zrobiła tego bez powodu.

Kobieta siedząca naprzeciwko spojrzała na mnie tak, jakbym nagle straciła resztki rozumu, a wypowiedziane przeze mnie słowa cechowała bezsensowność.

– Dobra wróżka? – powtórzyła za mną, sugerując iż powinnam rozwinąć tę myśl.

– Tak określam grupę znajomych – wyjaśniłam szybko.

– Postanowili podarować mi niezwykley prezent na moje trzydzieste urodziny.

– Cóż to takiego było?

– Bilet do Singapuru.

Australijka otworzyła oczy ze zdziwienia, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie powiedziałam.

– Ale jak to?

– Zamiast kupować mi drobne upominki, zdecydowali się na nabycie jednego biletu i wysłanie mnie na dwa tygodnie do Azji.

- Niesamowite! Też bym chciała mieć takich przyjaciół!
- Faktycznie, są jedyni w swoim rodzaju – przyznałam.
- Obiecałam im przywieźć milion pięknych zdjęć. Kto wie, może uda mi się nawet zorganizować małą wystawę w jakimś domu kultury czy niezależnej galerii...
- Jesteś fotografikiem, powinnaś wreszcie zająć się swoim wyuczonym zawodem – zgodziła się ze mną.
- Masz rację – weszłam jej w słowo – jednak teraz nadszedł chyba czas, byś zaczęła szykować się do randki...
- Faktycznie – mruknęła, podrywając się z fotela. Zamarła jednak na moment, uświadamiając sobie, iż sprytnie ją podeszłam, zmuszając niejako do wyjawienia natury spotkania, na które zamierzała się udać. – Masz mnie!

Pogroziła mi na odchodne palcem, zamykając się pośpiesznie w pokoju. Ja tymczasem rozsiadłam się wygodniej w fotelu i, przeglądając wydruki na temat samego miasta, zaczęłam planować zwiedzanie. Niestety głód przypomniał mi o istnieniu żołądka, który zaczął dopominać się o jakiś treściwy posiłek. Chwyciłam torbę z aparatem oraz kilkoma obiektywami, które mogły mi się przydać podczas wieczornej przechadzki po mieście i już miałam zawiadomić moją gospodynię, iż wychodzę, gdy ta pojawiła się w drzwiach. Wyglądała jak milion dolarów! Elegancka garsonka, która do tej pory okrywała jej ciało, została zmieniona na klasyczną małą czarną, a ciasny kok zniknął, ustępując miejsca burzy pięknych loków.

- I jak? – spytała niepewnie, zerkając w moim kierunku –

może być?

– Zdecydowanie! Jestem absolutnie hetero, ale i tak to powiem: Niezła z ciebie laska! – odpowiedziałam zupełnie szczerze.

– Mam nadzieję, iż on również tak pomyśli – mruknęła, przeglądając się w lustrze – ale widzę, że i ty uciekasz z domu. Weź ze sobą klucz, bo nie wiem, kiedy wrócę. Leży na komodzie – dodała, niemal czytając mi w myślach.

– Dzięki! Ja znikam, a ty baw się dobrze! – stwierdziłam, wychodząc na korytarz.

– Będę! Do zobaczenia jutro przy śniadaniu! – usłyszałam.

Ann-Marie zachowywała się tak, jakbyśmy znały się od dzieciństwa. Czytałam kiedyś, że Australijczycy są bardzo otwarci i bezpośredni, ale nie spodziewałam się, że aż tak! Uśmiechnęłam się do własnych myśli i ruszyłam schodami w dół.

Spis treści

Rozdział I Przybyłam!	4
Rozdział II Stłuczka	17
Rozdział III Kawa?	28
Rozdział IV Nocne pogaduchy	43
Rozdział V Małe Indie	55
Rozdział VI Sentosa	66
Rozdział VII Gardens by the Bay	79
Rozdział VIII Pulau Ubin	102
Rozdział IX Oferta nie do odrzucenia	115
Rozdział X Sesja	129
Rozdział XI Biesiada zmysłów	141
Rozdział XII East Coast Park	153
Rozdział XIII Bali	167
Rozdział XIV Zakupowe szaleństwo?	187
Rozdział XV Sesja razy dwa	201
Rozdział XVI Pakt o nieagresji	213
Rozdział XVII Pocałunek na dachu świata	228
Rozdział XVIII Każdy bal dobiega kiedyś końca...	242